już Gieni, która leżała na posłaniu z części desek, na których sypialiśmy. Mama powiedziała, że Gienia wyglądała tak, jakby zadręczała się tym, co jej podpowiadał instynkt matki – otoczyć opieką i nakarmić swoje bezbronne maleństwo, a z drugiej strony tym, że jesteśmy w krańcowo nienaturalnych warunkach i ten noworodek jest zagrożeniem dla naszego przetrwania. Nikt nie był pewien, czy powitać to maleństwo czy bardziej bać się jego pojawienia na świecie, nie wiedziała tego nawet sama matka dzieciątka.

Ten czas w kryjówce był pełen niepokoju, nawet Paweł się denerwował. Nie rozumiał całego tego zamieszania. Nie rozumiał obecności kwilącego dziecka, zapytał mnie: „Czy to jest dziecko, Krysia?”. Sama nie wiedziałam, jak odpowiedzieć.

Socha był w tym samym czasie na zewnątrz, równie niespokojny. Odkąd dowiedział się o stanie Weinbergowej, poświęcił dużo czasu na starania o dom dla dziecka, które właśnie miało się nam narodzić. Nie wiedział, że ona już dostała boleści i że właśnie rodzi, my zaś nie mieliśmy pojęcia o jego staraniach na rzecz dziecka. Socha oczywiście zdawał sobie sprawę, że rozwiązanie nastąpi niebawem, chodził od kościoła do kościoła, starając się przekonać zakonnice do przyjęcia i zajęcia się noworodkiem – bez zadawania zbędnych pytań. Ostatecznie trafił na takie miejsce, na takie siostry zakonne, i nie mógł się sam doczekać powrotu do naszej kryjówki następnego ranka, by móc się z nami tą dobrą wiadomością podzielić.

Dla Weinbergowej godziny po porodzie były pełne rozterek, przytulała swoje maleństwo, nie mając pojęcia, co przygotował dla nich Socha. Wiedziała doskonale, że każdy, nawet najcichszy płacz dziecka grozi nam wszystkim dekonspiracją. Wiedziała, że szanse maleństwa na przeżycie w tej wilgotnej, ciemnej norze nie były zbyt wielkie. Mama siedziała obok i patrzyła, jak Gienia przyciąga swoje dziecko bliżej

i bliżej do siebie. Cały czas okrywa jego twarzyczkę strzępem materiału, jakby chciała jedynie wyciszyć kwilenie, potem jednak zaczęło to wyglądać bardziej na starania, by dziecku odebrać możliwość oddychania, by cicho odeszło, by tym samym zakończyć stan naszej niepewności. Moja mama delikatnie odsuwała rąbek łachmana z buzi chłopczyka, ale kilka chwil później, kiedy znowu zaczął popłakiwać, Gienia przysunęła materiał z powrotem, a mama znowu odsunęła rąbek. Wszystko to odbywało się między dwiema kobietami bez jednego słowa. Siłę argumentów miały w oczach, to była ich rozmowa. To trwało długo, walczyły tak, kiedy wszyscy inni pozasypiali. Mama została przy Gieni tyle, ile sama zdołała wytrzymać, głaskała ją po włosach i odsuwała jej rękę od twarzy noworodka, ale w końcu i ona zasnęła. Wtedy Gienia stłumiła oddech dziecka. Poświęciła swojego nowo narodzonego synka, którego szanse na przeżycie były i tak nikłe, dla dobra innych, których szanse na przeżycie były tylko odrobinę większe.

Mama zawsze miała poczucie winy, że zasnęła w tym krytycznym momencie. Była naprawdę przybita, kiedy się obudziła i zorientowała, co zrobiła Weinbergowa. Wszyscy byliśmy tym przygnębieni, ale najbardziej mama. Zarzucała sobie, że poddała się senności, bo gdyby wytrzymała, może dziecko zostałoby ocalone. Może i tak, ale nie wolno było winić matki noworodka. Nikogo nie wolno było winić. Nikt z naszego całego grona nie mógł też powiedzieć, że decyzja Weinbergowej była najlepsza z dobrych czy najgorsza ze złych – w tym właśnie momencie. Nasza podziemna jaskinia to nie było miejsce dla noworodka. Jego płacz ściągnąłby niebezpieczeństwo. Z tego właśnie powodu ten smutny finał mógł świadczyć o wielkim akcie odwagi i odpowiedzialności Gieni Weinberg. Szkoda, że rano okazało się, iż mogło być inaczej. Socha przybył do nas, jak mógł najszybciej, przynosząc, jak sądził, wyczekiwaną wiadomość.